

ROZDZIAŁ III Bis

ATAK MOSKALI NA GRABOWIEC

Gdyśmy stanęli na rzeczonem wyżej miejscu, rzekł do mnie Dobrogojski:

- Daj baczność na kompanją a ja idę poszukać, czy byśmy się czem trochę rozebrać nie mogli.

Byliśmy całkiem skostniali.

Po niedługim czasie wrócił, wskazując dom, gdziebym gorącej nieco strawy znalazł.

- Przysłuchuj się tylko jedząc bacznie-rzekł- bo oczekujemy właśnie ataku Moskali, z których najbliżsi ciągną od Iłży, i są już niedaleko od miasta.

Pobiegłem co tchu do wskazanego mieszkania, wpadłem pochwaliwszy Jezusa Chrystusa, poprosiłem gospodarza, aby wyszedł przed dom i nasłuchiwał a jak tylko dosłyszysz jaki strzał, by natychmiast mi dał znać.

Zaledwie kilka łyżek gorącej kapusty przełknąć zdołałem, wpadł gospodarz.

- Panie! strzał.

- W której stronie? - zapytałem jedząc dalej spieszenie gorącą potrawę.

- Zdaje się, że w mieście.

- Idź jeszcze przed dom, i słuchaj bacznie, czy będzie więcej strzałów, i w której stronie? Bo to może tylko strzał, wypadkowy, przez nieostrożne obchodzenie się którego z powstańców ze swą bronią.

Gospodarz wyszedł znów przed mieszkanie, lecz natychmiast wrócił przerażony, wołając:

- Panie! strzał drugi i trzeci już padł...

W której stronie miasta? - zapytałem.

- Od strony Iłży.

- To Moskale już nadciągają. Będziemy się z nimi bić - wymówiłem, porzucając niedojedzoną strawę. - Bywajcie mi zdrowi!

- Niech was Najwyższy ma w swej świętej opiece

- Bóg wielki zapłać!

A podając gospodarzowi rękę na pożegnanie, wsunąłem mu drobną monetę, jako zapłatę za gościnność. Przyjąć jej nie chciał, mówiąc, iż Bóg by ich za to ukarał, że od tego co się bije za wiarę świętą i kraj, zapłatę za pożywienie przyjęli.

Dopiero gdy wyrzekłem.

- Wolcież, abym chciwość Moskali jeszcze zwiększał, gdyby przy mnie ją znaleźli? Ktoś zaś może ręczyć za to, że dziś nie padnę trupem? Módlcież się przeto za siebie i za mnie.

Dopiero pocziwy zaszlochawszy i robiąc znak krzyża świętego nademną, drobne wynadgodzenie przyjął.

Wybiegłem rozrzewniony na ulicę, i dopadłem swej kompanji, w chwili gdy dojeżdżał do niej galopem adjutant, z rozkazem dla naszej kompanji: przejść przez miasto na drogę do Iłży, i wystąpić do boju, przeciw nadciągającemu z tej strony nieprzyjacielowi. Poszliśmy biegiem z miejsca.

Gdyśmy z ulicy wpadli w rynek, wszyscy powstańcy powitali nas okrzykiem, przy

wyrzucaniu konfederatek w górę.

- Niech żyją waleczni!

Na co odpowiedzieliśmy:

- Niech żyje wolna nasza ojczyzna! - i pędziliśmy dalej.

Wypadliśmy za miasto.

Z lasu, od strony Pasztovej Woli, wysunęła się kolumna piechoty moskiewskiej, w odległości przeszło dwóch wiorst od nas, i zaczęła się rozwijać w prawo i w lewo od gościńca. Kawalerja zaś nasza gonila za kozakami, uciekającymi i wrzeszczącymi swym azjatyckim piskliwym zwyczajem.

Towarzyszył nam Czachowski.

O paręset kroków, zewnątrz miasta zrobiliśmy front. Za nami wystąpiła z miasta kompanja Dolnickiego i ustawiła się frontem obok. Za nią wyszli kosynjerzy i stanęli frontem, po za bronią palną.

Czachowski, wysłuchawszy rad Dobrogojskiego, wydać już miał odpowiednie dyspozycje do przyjęcia boju: gdy naraz wypadać zaczęła bryczka za bryczką z miasta, wioząc obywateli ziemskich, każdego z innej strony Grabowca. Ci podchodzili do Czachowskiego, i coś po cichu z nim rozmawiali. Nareszcie wypadła galopem jeszcze jedna bryczka, a z niej wysiadł jakiś dość niski rneńczyzna z kręcącymi się trochę na głowie włosami ciemnymi, cery śniadej, drobnych oczu, i jakiś spór z Czachowskim rozpoczął.

Przecuciem jakimś wiedzionym, będąc kilkanaście kroków od miejsca, gdzie stał Czachowski - bacznie na wszystko zwracałem uwagę. Widziałem jak dowódzca wielce niezadowolony opierał się wszystkim radzącym cywilnym panom, a czego dowodziły raptowne szarpania wąsów i brody oraz, gwałtowne podnoszenie się na strzemionach.

Nareszcie mały człowieczek, komisarz Rządu Narodowego, kończąc dysputę, coś półgłosem chropawym, nierównym wymówił, i odwrócił się spieszenie do bryczki, na której przyjechał; reszta obywateli przybyłych, jakby za pociągnięciem sznurka w teatrze marjonetek, spieszenie toż samo zrobiła; wskoczyli wszyscy do bryczek, i z turkotem i trzaskiem biczów znikli.

Czachowski wyprostował się dumnie na koniu, szarpnął jeszcze raz wąs potężnie, machnął ręką jakby miał mówić: niech i tak będzie, i zachmurzony, widocznie zły i niezadowolony, wydał rozkazy, aby majorowie: Łopacki i Greliński opuścili miasto, i z oddziałami swemi szli na Wólkę Modrzejową, do puszczy Iłżeckiej.

Stawecki i Dolnicki wrócili z kompanjami swemi i poszli tuż za oddziałami tamtymi. Kosynjerzy i piechota bagnetowa cofali się do miasta, Grzmot zaś z naszą kompanją został w arjergardzie.

Grzmot, usłyszawszy w kompanji, półgłosem a z całym oburzeniem przez wszystkich wymawiane, pytania:

- Jak to? nie będziemy się bili z Moskalami?

- Więc nie będzie tu już bitwy? - zawołał Grzmot za odjeżdżającym do miasta Czachowskim.

-Nie! - odpowiedział stary wódz zachmurzony, a gdy go doleciały powyższe nasze pytania, spojrział po nas ostro. Wyraz jednak twarzy, na której malowała się chęć boju z wrogiem, jakoś zamiast się rozognić, udobruchał.

- W imieniu Rządu Narodowego - rzekł - doręczono mi zakaz stoczenia w tem miejscu bitwy.

Gdy cofaliśmy się do miasta, w stronie północnej od niego, po pod lasami Czerwonowolskimi wznosiły się tumany kurzawy, oznajmiając, że to jakaś kolumna wojskowa, mająca w poród siebie kawalerję.

W mieście zastaliśmy już tylko smutnych i strwożonych mieszkańców, widokiem naszego się cofania i zbliżania Moskwy. Biedacy przeczuwali swój przyszły los straszny.

W ulicy, wiodącej do Wólki Modrzejowej, połączyliśmy się z naszą kolumną. Tu się Grzmot odezwał do Czachowskiego.

- Ojcze! daj mi pozwolenie, abym uszykował naszą kolumnę, jako cofającą się na sposób dzisiejszych wojsk regularnych.

- Ależ mówiłem ci kapitanie, że Rząd Narodowy zakazał nam staczać tu bitwę - odpowiedział Czachowski.

- Właśnie dla tego pozwól tego szyku. Jak zobaczą nas Moskale, tak maszerujących jak obecnie idziemy, to uderzą na nas, i bitwa będzie musiała tu nastąpić. Skoro zaś ja oddziały uszykuję, to przekonasz się, ojcze, że takiego respektu dla nas Moskali tem nauczę, iż z daleka tylko za nami posuwać się będą, aż do miejsca, które za odpowiednie do stoczenia bitwy uznasz.

- Dobrze - odpowiedział na to Czachowski- uszykuj że sobie na sposób dzisiejszy.

Dosiadł Grzmot konia, i kazał kompanji sztucznej Dolnickiego, gdy się skończyły budynki miasta, cofnąć się w tył, i o kilkadziesiąt kroków odstępu od kolumny rozsypać się w tyraljery, o pięć kroków odstępu jeden od drugiego. To samo rozkazał kompanjom sztucznym innych oddziałów. Kawalerją, dotąd na zachód miasta goniącą za kozactwem, ściągnął do kolumny i podzielił ją na dwie części jako flankierów,

Ten rozdrażniony widocznie, i zły dla tego na wszystkich, przygalopował w tej chwili. Zapomniawszy zwykłą dla księży uprzejmość, krzyknął oburzony na kapelana:

- Złaś z woza, popie!

A gdy ten go nie usłuchał, wziął go za ucho i sprowadził z wozu na ziemię, dodając: - teraz możesz sobie iść, gdzie tylko chcesz. Ja nie zniosę popa w wojsku, który się do rzeczy wojskowych miesza.

I natychmiast znów pogalopował wzdłuż kolumny.

Obrażony ksiądz, zabrał krzyż, komżę i stułę, i znikł nam w puszczy, przenosząc się do oddziału Kononowicza.

Ponieważ ksiądz Szulc⁶⁵ był bardzo lubiany, zwłaszcza przez włościan, którzy służyli w oddziale; przeto scena ta i gwałtowność wodza przykre na wszystkich wywarła wrażenie, i być może, że przyczyniła się do upozorowania dalszej ku niemu złej woli jaką Grelński i Kononowicz względem niego okazali.

Na tym przystanku otrzymał Czachowski dokładne wiadomości o postąpieniu barbarzyńskim dziczy moskiewskiej z nieszczęśliwymi mieszkańcami Grabowca. Łotry Moskale, po powrocie z pod puszczy, do której wejść za nami nie śmieli, wywarli całą swą zemstę na bezbronnych mieszkańcach. - Tu się okazało w pełni całej głupstwo strusiej dyplomacji szlacheckiej.

Zostałem nagle wezwany do Czachowskiego.

- Potrzebuję - rzekł - ażeby wszystko, co odemnie będzie wyprawione na piśmie,

⁶⁵ Ks. Szulc Serafin (1831 – 1905), kapelan w oddziałach partyzanckich na terenie województwa krakowskiego i sandomierskiego. Po upadku powstania w Galicji. Autor pamiętników kapelana opublikowanych w: A. Giller, *Polska w walce. Zbiór wspomnień i pamiętników*, Paryż 1868, s. 68- 143.

nosiło cechę urzędową. Ponieważ zaś, kolego, byłeś długie lata urzędnikiem i wszystkie przybory do pisania masz z sobą; widziałem, że coś piszesz, a powiedziano mi, że piszesz pamiętnik - przeto napisz do Uszakowa zawiadomienie, że odtąd każdego, kogo z nich dostanę w swe ręce, to go natychmiast powiesić każę.

Skończywszy to, podał mi maleńką karteczkę na cieniutkim angielskim papierze, drobniutkim charakterem zapisaną, a zawiadamiającą o szczegółach okrucieństw moskiewskich w Grabowcu.

Przeczytawszy kartkę, wydobyłem z tornistra przybory do pisania i na plecach jednego z kosynjerów napisałem następujące zawiadomienie:

«Do J.W. Generała Lejtnanta Uszakowa, dowódcy 4 dywizji piechoty, wojsk Cesarsko-Rossyjskich, kawalera wielu orderów, w Radomiu.

Miałem sposobność rozbicia wojsk waszych pod Grabowcem.

Nie chcąc atoli mieszkańców narazić na ograbienie i wymordowanie, miasta zaś, na spalenie - przez was - zmusiłem żołnierzy moich, maszerujących pod waszemi strzałami, przeszło wiorst 4 ½, o sześćset tylko kroków oddalenia od was, że ani jednym strzałem nie odpowiedzieli na takowe.

Nie mieliście odwagi postąpić za nami dalej. Ale cofnąwszy się do Grabowca pospiesznie, ograbiliście go i wymordowaliście.» Tu następowało wymienienie z imienia i nazwiska siedmiu zamordowanych przez Moskali w okrutny sposób mieszkańców Grabowca, «a pomiędzy nimi, miejscowego księdza i burmistrza strasznie poraniliście» Tu znowu wymieniałem trzynastu ciężko postrzelanych, pokłótych bagnetami, pokaleczonych pałaszami obywateli tego nieszczęśliwego miasteczka. «Znęcaliście się po barbarzyńsku nad pozostałymi: kolbując, bijąc ich nabajkami i pięściami, oraz gwałcąc niewiasty.

A tego wszystkiego dopuściliście się, bez dania wam przez nas lub ich naszego sztandaru, który stanowiła dawna chorągiew bractwa niby Rożańcowego, przy kościele XX. Bernardynów w Radomiu⁶⁶, co służyła patriotom tego miasta, podczas słynnej demonstracji w r. 1861 na Boże Ciało, podczas której pułkownikowi Ehrenrothowi, bohaterowi późniejszemu w Bułgarji, czapkę z głowy zrzuciono. Zmieniono ją o tyle, że na amarantowym tle widniał duży orzeł polski, srebrem wyszyty, a nad imieniem Marja, na wierzchołku drzewca, został osadzony mały maszyw srebrny orzeł biały.

Po wyprawieniu odezwy do Uszak owa, poszliśmy w dalszy marsz na północny zachód, i stanęliśmy obozem pod Lipiem.

Oddział Łopackiego stanął w miejscu dawniej zajmowanem przez Kononowicza, zaraz obok nasw prawo, Grelińskiego zaś w lewo, znacznie dalej.

Zaledwie upłynęło pół godziny, i znuzeni a głodni rzuciwszy się na ziemię jakiegokolwiek pozoru do tego.

Oświadczam wam przeto, że odtąd oko za oko, ząb za ząb.

Każdy z waszych, który żywy się w ręce nasze dostanie, bez względu na jego stopień - powieszonym przez nas zostanie.

Puszcza Hżecka, 16 kwietnia 1863 r.

⁶⁶ Bernardyni z Radomia odegrali bardzo istotną rolę w organizowaniu manifestacji religijno-patriotycznych. Por.: Orzechowska E, *Z działalności patriotycznej zakonu oo. Bernardynów w Radomiu w dobie powstania styczniowego*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego”, 1992, t. 29, z. 1-4, s. 25-49.

Twój kolega.

Czachowski, w miarę jak czytał zawiadomienie, z zamyślnego i pochmurnego, coraz stawał się czujniejszy; potem gdy całe przeczytał, wybuchnął nagle wesołym a rubasznym śmiechem, i rzekł do mnie:

- Bardzo dobrze! podaj że mi twego pióra!

A podanem, z zamachem podpisał:

«Dyonizy Czachowski»

«Pułkownik wojsk polskich. naczelnik sił zbrojnych województwa Sandomierskiego»

Zacyfrowałem z boku pierwszemi swemi literami, a wydobywszy świecę łojową, którą zawsze z sobą nosić musiałem, gdyż łój służył mi jako jedyne lekarstwo na odparzającą się skórę u podeszw stóp i na wilki, powstające z forsownych marszów - na świecy okopciłem pieczęć, której z władzami narodowemi nie używaliśmy, a tylko z Moskalami, na odezwie wycisnąłem i wysłałem na pocztę do Radomia.

Gdy ekspedycję skończyłem, rzekł do mnie Czachowski :

- Oddałeś, kolego, i zgadłeś całą moją myśl. Odtąd stanowczo należec będziesz do mego sztabu i prowadzić będziesz wszelką korespondencją moją. Dostaniesz więc konia, szablę i pistolety.

Nie przyjąwszy konia, ani szabli, przystałem na propozycję naczelnika, ale wymówiłem sobie tylko, żeby pamiętano o mnie co do jedzenia, bo na to czasu nie wystarczy.

Odtąd do sztabu jako piechur się zaliczałem. W marszach zaś i bitwach, towarzyszyłem jego kompanji celnych strzelców.

Czytając jak rozmaite «liczmany» literackie z Krakowa wałą podstępnie odpowiedzialność na powstanie za Grabowiec, podaję nieco szczegółów o Moskalach.

Otóż atakował nas major Rydygier⁶⁷, syn osławionego bohatera z pod Ostrołęki, co to leżał wówczas w błocie, w rowie ukryty, gdy się jego korpus z Polakami bił. Szedł na nas ten Rydygier syn, tylko ze swym bataljonem i dwiema sotniami kozaków. A zatem, nie z całym tysiącem ludzi tchóźliwych, dla dodania im odwagi spojonych, i grozą tylko pałki naprzód pędzonych.

Tymczasem stan naszych oddziałów, od 6 kwietnia, znacznie się powiększył.

Ochotników bowiem mnóstwo do nas przybywało i to dzielnych. Lecz Czachowski, dla braku broni i amunicji, tylko tych przyjmował, co choć w części jakieś uzbrojenie, i trochę amunicji z sobą do oddziału przynosili. Tych, co tego nie mieli, notowano imię, nazwisko i miejsce zamieszkania, nakazując, aby powrócili i stawili się, gdy będą zawiadomieni, kiedy do oddziału zgłosić się mogą; gdyż obecnie stan jego jest już zapełniony. A że byli to ludzie dzielni i z poświęceniem prawdziwym, dowody tego składali, gdy przez bitwy i nadzwyczaj forsowne marsze oraz głód cierpiany tworzyły się w oddziale luki, a my zbliżyli się w stronę ich przebywania, i posłali im zawiadomienie tylko, że miejsce dla nich jest już wolne- natychmiast się stawiali i dzielnie się z wrogiem bili.

Stan czynny naszego oddziału pod Grabowcem wynosił 560 ludzi, oddziału Grelieńskiego 500, oddziału Łopackiego 250. Kurz od Ciecierówki sprawił był nam pomoc w zabierającym tyły Moskałom oddziale Kononowicza, liczącym wtedy już 650,

⁶⁷ Prawidłowo: Rüdiger. Jego ojciec tłumiał powstanie listopadowe.

razem tedy 1960 ludzi, pełnych zapału i prawdziwego poświęcenia, z których wielu już było z bitwami oswojonych i ostrzelanych. Gdyby był więc Czachowski mógł wtenczas przyjąć bitwę, a poszedł za radą Grzmota, i przyjął ją na łące, pod laskiem, między Grabowcem a Rzeczniewem, - mogliśmy byli być pewni, że noga z kolumny Rydygiera nie wyszłaby z tej bitwy wolna. Grabowiec więc padł, nie wskutek nierozwagi Czachowskiego, ale dzięki niecnym wybiegom szlachciców strachajłów, którzy dla miłego spokoju i używania, poświęcili własną krew i honor narodu. Oni też okłamali i owego małego człowieka, którym był Stanisław Jaramud⁶⁸, komisarz Rz. Narod., a były inżynier komunikacji lądowych i wodnych z Warszawy, i jak w pewną liczbę lat potem okłamali tegoż inni i w innych stronach nieszczęśliwej Ojczyzny naszej; lub znowu jeszcze inni, mitrowcy, którzy człowieka tego, prawdziwego patriotę, wyciągnęli z Paryża na to, aby jako mającego wielkie poważanie w Emigracji, a do rozbicia Zjednoczenia emigracyjnego stojącego im na zawadzie, sprowadzić do kraju, na wysoką niby posadę autonomiczną, by następnie go z niej zhańbionego usunąć. Takich to mistrzów kabał i spodlenia miało powstanie za wrogów: na nich więc niech krew Grabowca spada!

Dla podłej rachuby wydarto nam zwycięstwo, które nas mogło lepiej uzbroić i powstanie w Sandomierskiem całkiem zorganizować. Zwycięstwo to miałoby olbrzymią doniosłość, gdy zważymy, że w tym czasie właśnie miała powstać Litwa i Ruś.

Jakie zaś było usposobienie nasze w powstaniu: oto, gdyśmy się w późniejszych marszach w okolicy Grabowca znaleźli, a wiara z ust mieszkańców dowiedziała się o powyższem niecnem postąpieniu wyrodných synów Ojczyzny, to odtąd skorośmy się kiedykolwiek zbliżali do dworu zamieszkałego przez dwuznacznego obywatela - witała natychmiast takowy patriotycznym śpiewem: «Gdy naród na pole wystąpił z orężem» zawodząc takowy z całym ferworem i zacięciem. Nie chcieliśmy okazać mu rozwiniętego odpoczywać zaczęliśmy, gdy od strony oddziału ostatniego usłyszeliśmy głośny i dłuższy okrzyk, który spotęgowany echem puszczy naszych uszu doszedł.

Sądząc, że to Moskałe napadli na niego, mianowicie, że Czachowski rozkazał jak największą cichość zachować w obozie - zerwaliśmy się na równe nogi, i stanęliśmy uszykowani natychmiast pod broń, oczekując dalszych jego rozkazów.

Czachowski zrywając się, krzyknął:

- Adjutant! Zobacz, co tam się dzieje?

Adjutant wrócił niebawem na spienionym koniu i zdał raport następujący:

- Oddział Grelińskiego, zamiast stosować się do otrzymanych rozkazów, uszedł pośpiesznie na południe, a gdy się znacznie od nas oddalił w tej ucieczce, zaczął wiwaty wznosić swemu dowódcy. Na usiłowanie zawrócić go, Greliński oświadczył: że więcej już wspólnie działać nie będzie.

- Jak tylko tego łotra dostaniemy w nasze ręce, natychmiast go jako zdrajcę kraju powiesić rozkażę! - wybuchnął na to Czachowski, a nam dał komendę spocząć w miejscu.

To pewno, że starszyczna, z małym wyjątkiem, z Galicji i Poznańskiego, począwszy od niefortunnego parodniowego dyktatora, zabiła głównie powstanie r. 1863.

Gdyśmy następnie ruzpalili ogniska, bo deszczyk zaczął rosić, udałem się na chwilę

⁶⁸ Prawidłowo: Jarmund Stanisław (1824 – 1904), w 1863 roku komisarz Rządu Narodowego w Galicji Wschodniej. Po powstaniu we Francji, działacz Zjednoczenia Emigracji Polskiej. Autor wspomnień: *W obozie Czachowskiego*, w: „*W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego*”, Lwów 1903.

do oddziału Łopackiego, aby się bliżej z nim zapoznać - tu było inaczej, choć dowódca był też Galicjanin, naturalnie «wyjątkowy»...

Resztę dnia zatrudnił nas Dobrogojski, ucząc moskiewskiej musztry z ogniem. Tłumaczył nam, własności elewacji sztucernej i użycia jej wizerów oraz gwintów na kierunek kuli.

O godzinie 11 w nocy strzały alarmowe postawiły w jednej chwili cały oddział pod bronią. Cofające się wedety, złożyły raport: że gdy w ciemności najdalej na trakcie od Lubienia wystawiona para, usłyszała stąpanie jakichś ludzi przez puszcę, idących i rozmawiających głośno po moskiewsku, posłała w kierunku ich strzał i cofnęła się do obozu.

Inne, umieszczone z tejże strony obozu, powtórzyły sygnał alarmowy i również cofnęły się do obozu, gdzie nigdzie już dopalające się inne ogniska wodą natychmiast zalano, aby najmniejszego światła w ciemności nie wydawały. Inne wedety, na innych stronach obozu ustawione, polecono natychmiast do oddziału ściągnąć.

Dobrogojski sformował wtedy w największej ciszy w mgnieniu oka kare z samej broni palnej, umieszczając wewnątrz jego kosynjerów, na cztery części podzielonych. Za nimi stali kawalerzyści spieszeni, a w samym środku nasz stary wódz, również pieszo. Wszyscy żołnierze piesi na cichą komendę, na około powtórzoną, legli na ziemię i z odwiedzionymi kurkami przyłożyli broń mierząc wprost przed siebie. Dobrogojski obszedł leżące kare, zakazując strzelania wprzód, zanim wyda głośną komendę.

Zagroził nawet natychmiastowem rozstrzelaniem każdego, ktoby rozkaz ten przestąpił. Poinformował dalej, że mamy obserwować błysk pierwszy ognia broni nieprzyjacielskiej, i w to miejsce celować.

Inne boki kare, nie atakowane przez Moskali, rozkaz miały, aby przez bez potrzebne i nieużyteczne strzały, nie zdradzić naszego szyku.

Wedety ściągnięto.

Cisza zupełna zaległa lasy.

Leżeliśmy blisko godzinę, nieprzyjaciel tymczasem się nie zjawił. Wyprawiono przeto kilka silnych patroli w różnych kierunkach, dla przetrząśnienia nas otaczających borów. Gdy jednak te nigdzie i nic podejrzanego nie znalazły, wyprawiono wtedy dwa podjazdy w stronę traktu, w kierunku Lubienia i do Iłży. Rekonesans, w kierunku tej ostatniej, sprowadził nam trzech Polaków, którzy z kieleckiej załogi, w szynielach carskich i z bronią do powstania zbiegli; i oni to tułając się po puszczy, po moskiewsku głośno ze sobą rozmawiali, aby, gdyby przypadkiem natrafili na podjazd nieprzyjacielski, łatwiej jako niepodejrzani, bo niby jego rodacy zbliżyć się korzystając z ciemności i uderzyć na niego mogli. Tymczasem nie napotkawszy śladu naszego ani Moskali, najniespodziewanej zostali spłoszeni strzałami naszych właśnie wedet. Nie wiedząc czyjeby to były, pod osłoną puszczy, spieszenie z niej uszli do Iłży, gdzie ich rekonesans nasz wyszedł i z sobą zabrał. Przyjęliśmy ich z otwartymi ramionami, zwłaszcza, że ich Grzmot rekomendował.

Byli to: junkier Manowski, który mimo jedenastoletniej carskiej służby przymusowej, jako podejrzany o patriotyzm polski, nareszcie dał dowód, że się najezdniczy nie mylili. Drugim był podoficer Sochacki, rodem z Radomia, także wzięty poborem do armii najezdniczej. I trzeci, podoficer również, Polak, który tym samym

sposobem do carskich niewolników zaliczonym został⁶⁹.

Dwóch pierwszych Czachowski wcielił do kompanji własnej; trzeciego zaś, do dowodzonej przez Dolnickiego.

Szczęśliwy traf tylko zrządził, że za swój gorący patryjotyzm o mało od polskiej kuli nie polegli lub rannymi nie zostali.

Z takimi to zwykle narażeniami życia musieli przedzierać się przez tłumy otaczających nas najezdników patrioci, dla połączenia się z nami, choć wiedzieli naprzód, że ich nic więcej nie czeka nad: trud, głód, chłód i nowe narażanie się na śmierć oraz gorsze od niej stokroć kalectwo lub dostanie się w ręce dzikiego wroga, który z wściekłością barbarzyńcom właściwą a chytryością i wymyślnością okrucieństwa azjatyckiego, będzie się nad nimi znęcał.

Znaleźli się jednak wyrodki, wynajęci przez tegoż wroga narodu polskiego, co się poważyli plwać i wysmiewać te poświęcenia idealne a na groby ofiary i męczenników świętej sprawy wyzwolenia ciskać kamień potępienia obłudnego!

Nocy powyższej i dnia poprzedniego głodowaliśmy wielce, albowiem od chwili pożywienia nas we dworze Czerwonowolskim, od 15go, mało co kto z nas miał w ustach. Zamożniejsi tylko, a było ich zaledwie kilku, przytomniej wybierając się z domu do obozu, wzięli byli ze sobą nieco grosza i zań kupowali dla siebie i kolegów żywności, ale takiej, coby nie obładowywała i obciążała pakunek jak wędliny, słonina, ser, masło: jaja gotowane na twardo, cukier, herbata, a tem się nasycić niepodobna było, przy wilczym głodzie jaki się przy tak forsownych ruchach, i to na świeżem powietrzu dzień i noc odbywanych rozwijał. Jaka zaś uczciwość panowała pomiędzy powstańcami, niech służy za dowód, że żaden nie poważył się nigdy, gdyśmy przez wieś lub miasto przechodzili, zażądać czego bez zapłaty. Nie tknął się też nigdy, w największej potrzebie, własności drugiego. Posiadający przy sobie pieniądze, ani grosza nie uronili, choć wszyscy wiedzieli, że je przy sobie posiadali a żaden z nas z tego tytułu ani nawet na nagabywanie o takowe narażonymi nie byliśmy. Do tego stopnia posuwali swą szlachetność, co znów było błędem z ich strony, że żaden z nich za nic w świecie, nie byłby sięgnął ręką do kieszeni swego poległego towarzysza, dla przeszukania czy w niej co nie pozostało, choć to budziło chciwość jeszcze większą w dzikich carskich niewolniczych żołdakach, którzy też bardzo często przy poległych powstańcach znajdowali gotówkę, a były wypadki, że grubą; oprócz niej i kosztowności jak zegarki, sygnety, pierścienie i spinki wielkiej wartości, dla zdobycia których, odważniej - bo bestjalstwo spełniało rozkazy swych przełożonych, mimo że ci, dostrzegłszy co z wymienionych wyżej przedmiotów w ich posiadaniu, niby to jako własność carską, wnet im odbierali, a rzeczywiście dla siebie zabierali. Oficerowie moskiewscy wynagradzali tylko tych, co to sami się z rzeczami zrabowanymi do nich zgłosili, i to szczupłą miarką boskiego ich nektaru, ordynarnej gorzałki lub paroma groszami najwięcej - w razie zaś nieokazania łupu dobrowolnego, walono rabusiowi potężną porcją kijów, od kilku setek aż do tylu tysięcy.

Tej to właśnie nocy, wspomniany wyżej parokrotnie policjant z Radomia, zauważył, żeśmy już zasnęli, podniósł się i wyszedł z obozu; lecz gdy starał się przemknąć na zewnątrz wedet, czuwający nad nim z daleka, pomimo udawania silnego snu podnieśli się również i postępowali za nim z tyłu ostrożnie, zasłaniając się drzewami;

⁶⁹ Nie udało się ustalić w jakich okolicznościach ta trójka Polaków znalazła się w szeregach wojska rosyjskiego. Niewykluczone, że po 1856 dobrowolnie zostali w armii rosyjskiej, a teraz w czasie walki zbrojnej obudził się w nich polski duch.

na samym już przemykaniu się przez łańcuch forpocztowy uchwycili, rozbroili i do obozu z powrotem odstawili na strażnicę jako aresztanta.

Resztę tej dziwnej a głodnej nocy przeżyliśmy dość spokojnie.

W pierwszej chwili ucierania się kawalerji, naszej z kozakami, przed wycofaniem nas z Grabowca, został ciężko rannym dzielny rotmistrz Bertoli, były oficer z armii austriackiej, więcej żadnych strat dnia tego nie ponieśliśmy.

ROZDZIAŁ IV

17, 18 i 19 KWIETNIA 1863 R.

Przyjaciele pozostali w Radomiu, a posiadający zawsze dokładne wiadomości, donieśli mi potem, że Uszakow, odebrawszy odezwę Czachowskiego do siebie - nie posiadał się z wściekłości, zwłaszcza za ostatni wyraz: «Twój kolega». Rzucił się gwałtownie, biegał, skakał, i tupiąc wył po salonie, zupełnie jakby go szatan opętał, choć ten tytuł za wiele temu bydłęciu carskiemu honoru robił.

Należał on, w młodości do spisku Dekabrystów⁷⁰, a mimo że był z tych, co to Mikołaja I po szpiegowsku jako zdrajcy pojaśnili, choć doszedł do stopnia generała lejtenanta i już 25 lat na nim pozostawał, wyżej się wszakże nie posuwał.

W dniu 17 kwietnia. o g. 9 r., organizacja dostarczyła nam trochę wódki i chleba, i to w takiej ilości, że zaledwie po małym skrawku i kieliszeczku wódki każdemu z nas się dostało, a na 200 przeszło ludzi jedną, starą chudą krowinę.- Takich opiekunów nie rzadko miewaliśmy...

Zaledwie jednak mięso z biedaczki gotować zaczęliśmy, gdy naraz otrzymał Czachowski wiadomość, że wojska moskiewskie z czterech stron idą na nas koncentrycznie do puszczy. Zaraz też huknął grzmiącym swym głosem:

- Gasić ogień!

A w pięć minut już staliśmy pod bronią. Mięso rozparzone a niedogotowane. chwytaliśmy do tornistrów lub torb płóciennych.

Kilkunastu nowicjuszków, którzy nie znali, co to jest rozkaz naszego wodza a mniej jeszcze oswojonych z zawsze towarzyszącym nam głodem, radziby byli, aby choć jakie pięć minut podgotowało się ich mięso. Krzątają się więc znowu około gaszenia zupełnego swych ognisk, ale jakoś to niby im się nie udawało. Dopatrzył to Czachowski, wyjął rewolwer i huknął potężnie:

- W łeb palnę każdemu, co się tylko ociągać będzie!

Biedacy, przerażeni potłukli również swe garnki; wyciągnęli z popiołu mięso, i umknęli z niem do szeregów.

Chcąc wyjść z matni, Czachowski, podzielił kawalerję na części, i każdą z nich osobno a w jedną stronę, lecz w odstępach, naprzód wyprawił, dając im wskazówki, co mają dalej robić, na wypadek zetknięcia się z opasującym nieprzyjacielem, i gdzie z sobą wzajemnie a następnie z oddziałem mogą się połączyć. .

Furgony, których mieliśmy wszystkiego cztery, również każdy z nich pojedynczo, a były to zwyczajne wasągowe wozy, osobną drożyną leśną, z jednym tylko na każdym wozie wiejskim parobkiem stroju właściwym wyprawił. z podobną instrukcją jak i dla kawalerji; tylko inną już miejscowość, bardziej oddaloną, za połączenie się ich z nami przeznaczył. Naturalnie opróżniono je ze wszystkiego, coby mogło naprowadzić wroga na domysł, że to są wozy powstańcze.

Następnie, wszyscy pozostali, rozsypaliśmy się w prawo i w lewo w jedną linję tyraljerską, o pięć kroków odstępu od siebie, i biorąc w środek ze sobą piąty, malutki

⁷⁰ Nazwa pochodzi od próby wywołania powstania antycarskiego w grudniu 1825 roku. Sprawa zaangażowania się w ten spisek Uszakowa wydaje się być wątpliwa.

wózeczek amunicyjny, przez małego konika ciągniony, pomaszerowaliśmy z początku na przełaj puszcza prosto przed siebie, to jest ku środkowi jej, z zastosowaniem ostrożności wszelkiej. Każdego, kto na swej prostej drodze nastąpił na odkrytą z murawy lub piaszczystą ziemię, musiał sam pamiętać, aby tyłem ją przechodził. Uszedłszy w ten sposób wiorst parę, lewe skrzydło dostało rozkaz zachodzić w prawo a prawe stać w miejscu, dopóki długa linja nasza, z południowo wschodniego nie przeszła w południowo zachodni kierunek, którym już stanowczo poszliśmy dalej.

Okolo godziny 4 po południu przeszliśmy, po poprzednim zrekonoskowaniu pól i drożyny, węższy pas lasów Wąchockich od puszczy Iłżeckiej, z którą w tem miejscu się bezpośrednio łączyły. Zwinęliśmy długą naszą linją, i weszliśmy w te nowe lasy, bez zetknięcia się z Moskalami. Uszedłszy jeszcze niemi z jaki kwadrans czasu, wyszliśmy znów na drożynę a jako przez grunt gliniasty i truchę wzgórkowaty przechodzącą, więc na wysokość przeszło człowieka w tem miejscu zagłębjoną.

Tu już sformowaliśmy znowu kolumnę pochodową; gdyż właśnie i kawalerja nasza szczęśliwie, bez spotkania się z nieprzyjacielem, z nami się połączyła. Grzmot przedstawił Czachowskiemu, konieczność dokładnego zbadania przez rekonesans terenu oraz przekonania - się, gdzie teraz znajdują się rzeczywiście Moskale, zanim naprzód dalej posuwać się zaczniemy? Czachowski wezwał na ochotnika do tego rekonesansu, wystąpił z szeregu jeden, któryś z oficerów kawalerji, oraz, kilku z niej szeregowców. Czekano dobrą chwilę. Żaden z nich z miejsca się nie ruszył.

Oburzony w najwyższym stopniu, Grzmot, stanął oko w oko z kawalerzystami, i z największą pogardą odezwał się mniej więcej w te słowa:

- Toż wy jesteście synami dawnych rycerzy polskich. Na wino, herbatę i przysmaki do dworów jest was pełno zawsze. Lecz spojrzeć wrogowi oko w oko, z bliska, to was ani jednego nie masz. Podłymi tchórzami a nie kawalerzystami polskimi jesteście! - a zwróciwszy się do Czachowskiego dodał: - Ojczu! pozwól, że ja, oficer piechoty, w tym mundurze jeszcze moskiewskim, nie zawaham się wypełnić ten konieczny obowiązek dla Ojczyzny, który do nich należy i t. d.

Na powyższe słowa wystąpił szeregowiec Gawroński, oświadczając, że chętnie mu towarzyszyć będzie. Słyszac to, obstąpiliśmy szlachetnego Grzmota, błagając go, aby tego nie czynił, i we dwóch tylko, na widoczną zgubę nie szedł.

Nic nie pomogło; nie dał się odwieść od raz powziętego zamiaru, widocznie koniecznego. Odjechał tylko z Gawrońskim drożyną, oddzielającą lasy Wąchockie od Iłżeckich, a kierując się na południe, ku traktowi z Wąchocka do Opatowa.

Smutni staliśmy z półtorej godziny, oczekując rezultatu jego wyprawy zbyt ryzykownej.

Naraz usłyszeliśmy jakiś gwar od tyłu na wedetach, ustawionych z tamtej strony właśnie, czyli na drożynie, o której dopiero co pisałem. Po gwarze, doleciał nas okrzyk:

- Niech żyje Grzmot! Grzmot powraca z jeńcami! - doszły nas głosy od arjergardy.

Kolumna się nareszcie rozstępować zaczęła po bokach drożyny a środkiem jej jechał wesół Grzmot, prowadząc za sobą w tryumfie wózek wieśniaczy, przez gospodarza wiejskiego powożony, a na nim: podoficera Moskala, rannego kozaka, kilkadziesiąt bochenków chleba, beczkę wódki i worek z grochem polnym, a za wózkiem z fantazją jechał Gawroński.

- Niech żyje nasz Grzmot! - wołano. - Brawo Gawroński !

Reszta kawalerzystów nie wiedziała, gdzie schować swoje oczy ze wstydu.

Grzmot, gdy się polami podsuwał pod trakt bity, kazał Gawrońskiemu w tyle przystać i czekać na znak jaki mu poda. Dostrzegł właśnie posuwający się, przyprowadzony ze sobą wóz i jego ładunek; dawszy przeto znak Gawrońskiemu, obkoczyli go równocześnie obad waj. Podoficer co eskortował rannego kozaka za kolumną moskiewską, zgłupiał normalnie na widok kapitana moskiewskiego, jednocześnie z powstańcem ku niemu cwałującego, i zapomniał zupełnie zrobić użytku ze swej broni, choć był w pełnym uzbrojeniu.

Kozak zaś, ciężko ranny, nie mógł się bronić. Rozbrojenie i zawrócenie wozu w inną stronę były dziełem jednej sekundy, tak że kolumna moskiewska spostrzedz się nie miała czasu.

Z badania przywiezionych jeńców dowiedzieliśmy się dokładnie, że z wojsk należących do komendy Czengerego sformowana kolumna, a rozlokowana w okolicy Bodzentyna, Suchedniowa, Wąchocka, traktem z ostatniego miasta wiodącym podstąpiła pod puszcę Iłżecką i od południa do tejsze wkroczyła. Natrafiwszy w niej na zbiegły w dniu wczorajszym z naszego obozu oddział Grelieńskiego, takowy zupełnie rozbiła, położywszy trupem wielu a rannymi jeszcze więcej, jak zwykle w każdej bitwie, zwłaszcza przy rozbiciu. Zabrała znaczną część tegoż do niewoli, oraz mnóstwo porzuconej przez uciekającą resztę oddziału broni.

Kolumny zaś, złożone z załóg radomskiej i kieleckiej, gdy zetknęły się w puszczy ze sobą i innymi do załóg Zwolenia i Opatowa należącymi, - nie znalazły wszystkie w lasach żadnego już więcej oddziału powstańczego, pierwsze dwie złączyły się: z sobą, wyszły z tejsze na południe i traktem ku Wąchockowi podążyły; drugie tymczasem dwie, każda również poszła z powrotem do miasta, z którego na wyprawę wyruszyła.

Wiedząc teraz, gdzie Moskale przebywają, poszliśmy w marsz dalszy, dążąc teraz na zachód, z bardzo małym nachyleniem ku południowi. Lecz zaledwie uszliśmy małą milę, a słońce miało się już właśnie ku zachodowi, gdy przy rozstajnej jakiejś drożynie leśnej usłyszeliśmy bliski gwar i hałas tłumny.

Kolumnę zatrzymano i wyprawiono w tamtą stronę podjazd z paru kawalerzystów. Ten natychmiast powrócił, raportując Czachowskiemu, że to są właśnie resztki uciekinierów Grelieńskiego, w popłochu uchodzących.

Czachowski wysłał część kawalerji, aby ich obkoczyła i zatrzymała.

Kolumna, gdy ruszyła dalej, ujrzała niebawem, jak kawalerzyści pędzili między sobą osiemdziesięciu zupełnie bezbronych i niezmiernie przerażonych Grelieńszczyków.

- Łotry! - gdzie wasza broń? - krzyknął Czachowski grożąc, że ich każe rozstrzelać.

Przerażeni, padli na kolana: naraz zaczęli się tłumaczyć i błagać, usprawiedliwiając się postępowaniem dwuznacznym swego dowódcy. Odkryli teraz, że tenże oddawna prowadził romans z panną B., córką zawiadowcy rządowych hut żelaznych w Parszowie. Oskarżyli go, że bardzo duże składki narodowe pobierał w powiatach Sandomierskim i Opatowskim, i z nich bardzo kosztowne prezenta, z pereł i fortepianu i innych przedmiotów, aż z Wiednia dla damy swego serca sprowadzał. Że wczoraj, gdy uszli za jego rozkazem z naszego obozu, nie wiedzieli z początku, że to jest jego samowolny rozkaz, ale sądzili, że to w skutek rozkazu naczelnika wojennego województwa; później choć się z przyniesionego przez adjutanta, innego rozkazu dowiedzieli, że tak nie jest - to cóż oni sami mogli na to poradzić, skoro obowiązani byli go słuchać? Następnie gdy podeszli do obozowiska swego dawnego, pod Starachowicami i Brodami, to Grelieński zaraz od nich odjechał i udał się do Parszowa. A gdy najmniej się tego spodziewali,

bardzo dodnia dziś rano, nadzwyczaj silna kolumna Moskali, podszedłszy drzemiące ich wedety, nagle na obóz napadła. Że kapitan Bogdan, dawny oficer moskiewski, który go zastępował, czynił wszelkie wysilenia, aby Moskwie dać odpór, lecz taki popłoch między nimi ten nagły napad nieprzyjaciela wywołał, że wszyscy, co prędzej w tył uchodząc, odstrzelili się, a mało kto do szeregu stawał; samego, nareszcie ciężko rannego kulą w bok, zaledwie go zdołali odnieść w tył i ukryć w lesie, po którym rozsypawszy się i broń zakopawszy, uchodzili dalej z puszczy, i dopiero w lasach Wąchockich, ci, co przed nami stali, zaczęli się świstaniem zwoływać i zgromadzać szukając swego dowódcy, którego od dnia wczorajszego wcale nie widzieli. Zaczęli utrzymywać stanowczo, że byle ich z powrotem w puszcę Iłżecką wprowadzono, to ukrytą własną broń zdołają odszukać.

Tak to sama Nemezys⁷¹ pomściła strasznie ucieczkę niekarnego oddziału i jego nikczemnego, pyszałkowatego dowódcy. Wysłuchane powyższe oskarżenia, natchnęły nas najsilniejszą za wziętością i wzgardą względem nikczemnika Grelińskiego, który zamiast pełnić święty obowiązek wodza powstańczego, lekceważył krew i życie swych podkomendnych, a dla swych zmysłowych chuci zmarnował oddział, oraz krwawy grosz narodu, dla świętej sprawy mu powierzony.

Gdyby był wówczas wpadł w nasze ręce, z pewnością haniebną śmiercią od stryczka byłby natychmiast zginął; gdyż czyny jego powyższe były prostą zdradą, dowodzącą, że on to zapewne sam naprowadził i Moskali na własny oddział. Skoro więc oskarżenie powyższe sprawdzone zostało, i okazało się prawdziwym a do tego przybyła jeszcze pewność, że Greliński uciekając teraz z Kongresówki nie złożył żadnych rachunków z 60.000 rubli srebrem, które powinien był mieć jeszcze przy sobie, ani objaśnienia nie pozostawił żadnego, co się z tem stało - Czachowski złożył nań sąd wojenny. O jego dalszych losach wspomnę w końcu mej pracy.

Wysłuchawszy do końca, Czachowski, powyższych tłumaczeń uciekinierów, zakomenderował:

- Wyciąć tyle wysokich jodłaków i z gałęzi je okrzesać, ilu jest tych tchórzów!

Rąbiąc siekierami, pałaszami i pionjerskimi tasakami, w lot ułożyliśmy wysoki a długi stos, do 15 łokci długich a dość grubych, pookrzesywanych z gałęzi drzew.

- Nie chcieliście się bić bronią - krzyknął Czachowski - za ciężką wam była, rzuciliście ją podli tchórze: bierzcież teraz łajdaki tę broń, którą się bić z wrogiem dotąd będziecie, dopóki na nim lepszej nie zdobędziecie.

Jak niepyszni, winowajcy, musieli rozebrać jodłaki, każdy z nich starał się tylko uchwycić za cieńszy.

Uzbrojonych w ten sposób, sformowano z nich osobną kompanję, i umieszczono po za kosynjerami, z wyraźnym rozkazem: palenia w łeb każdemu z nich, gdyby tę nowomodną broń który z nich porzucił lub z szeregu zbiedz chciał. - Pocili się też, a dźwigali i maszerowali. Kolumna zaś zdawa wyglądała jak jaki potwór, w środku olbrzymiemi kolcami najeżony.

Uszliśmy znowu z dobrą milę lasami, gdy nas zatrzymano. A był to już wieczór. Girzmot z Gawrońskim znów na południe od nas pojechali, na rekonesans.

Staliśmy już wówczas w lasach na północ, ponad samym Wąchockiem leżących, około trzech kwadransów i to pod bronią, nic nie naruszając szyku. Grzmot z powrotem doniósł, że gdy wyjechał z lasów, sam podsunął się aż do brzegu stawu i za nim ujrzał Moskali, dopiero co z wyprawy do puszczy powracających, którzy założyli tam obóz i

⁷¹ Bogini zemsty w mitologii greckiej.

porozpalali swe ogniska. Zrekonoskował i obliczył ich dokładnie. A mimo że księżyc na chwilę wyrzął z po za chmur, i to jego kręcenie się ponad obozy zdradził; lecz wedety, widząc oficera konno, w mundurze ich uwijającego się, sądziły, że to któryś z wyższych ich oficerów po za obóz wyjechał. Dopiero gdy osiągnął cel, skrzył konia, i zamiast ku miastu, zaczął cwałować ku lasom, sypnęły się za nim strzały, lecz żadna kula go nie trafiła.

Wiedząc teraz, że Moskale zaalarmowani, bo i Gawrońskiego, gdy księżyc wyrzął, zobaczyli już na pewno ztąd w nocy nie ruszą, poszliśmy dalej jeszcze ze ćwierć mili na zachód, i skrzywszy na południe, po jakichś kładkach przeszliśmy na prawy brzeg rzeki Kamiennej, o małe pół milki tylko poza Wąchockiem, i po nad samym jej brzegiem pomaszerowaliśmy.

Gdyśmy w tym kierunku uszli z pół mili, po kładkach wśród ciemnej nocy przeszliśmy znowu na lewy brzeg rzeki, i udaliśmy się na północny zachód dalej.

Była już północ, gdy zbliżyliśmy się ku jakiemuś trochę na dworek szlachecki wyglądającemu budynkowi; usłyszeliśmy naraz jakieś silne dobijanie się do okien, z wzywaniem natychmiastowego otwarcia i podania sobie ognia, aż zaczęły z brzękiem spadać wytluczone szyby. Grzmot natychmiast poskoczył tam konno, a znalazłszy paru naszyc paniczów z kawalerji. którzy w ten sposób chcieli dostać ognia do zapalania cygar i fajczek - zgromił ich ostremi siowami za tę burdę nocną, zmusił do złożenia natychmiast na wybitych oknach należności za stłuczone szyby i precz napędził. Mieszkańców zaś przerażonych uspokoił i najgrzeczniej przeprosił.

My tymczasem, zrównawszy się z tym budynkiem, pomaszerowaliśmy od niego w kierunku północnym. Dnieć zaczynało, gdyśmy wyszli z lasów i ku Skarzyskowi Kościelnemu, długiej wsi rządowej, podchodzili. Rankiem. dnia 18 kwietnia, przeszliśmy nie zatrzymując się ani chwili przez tę włość dążąc ciągle prosto na północ. O godzinie 7 r., doszedłszy do drugiej wsi rządowej, Skarzyska Książęcego, skrzyliśmy pod kątem prawie prostym, w lewo, i pomaszerowaliśmy wprost na zachód.

Przeszedłszy i takową, około 8 rano, doszliśmy do traktu bitego z Szydłowca do Suchedniowa i Kielc.

Tu, w znanej mi od dzieciństwa okolicy, będący w kompanji towarzysze ukazali widoczne z traktu tego miejsce, które Langiewicz na gromadzenie się ich, w dniu 22 stycznia, wybrał, i dozwolił w tak odkrytej miejscowości liczne ogniska porozkładać; opowiadali mi to wszystko z najdrobniejszemi szczegółami.

Teraz kolumna nasza zawróciła znów w lewo i podążyła traktem bitym na południe, aż do karczmy, do wsi Pogorzałe należącej. Ztąd udaliśmy się znów na zachód przez zwyż rzeczoną włość; a około godziny 10 r., doszedłszy południowego końca innej wsi, Majdowa, zawróciliśmy jeszcze raz w lewo i po pod leśnictwem Majdów dościgliśmy do wierzchołków gór, powyższe nazwy noszących.

Po tym 24 godzinnym bez spoczynku odbytym forsownym marszu, uszliśmy przeszło mil 10, i tu pozwolono nam, choć z dalszem zachowaniem szyku, spocząć w miejscu, usiąść lub położyć się na ziemi.

Znużenie, pragnienie i głód okropnie dokuczały, a naszych furgonów z nami nie było. Towarzyszyły nam tylko: wózek z amunicją i wóz z rannym kozakiem, które przy przejściu przez kładki rozbierano i częściowo na rękach przenoszono a konie z uprzęży rozebrane wplaw rzeprowadzano.

Otrzymałszy pozwolenie na założenie małego ogniska, i wypożyczywszy od

Galicjan kilka menażek blaszanych, z pomocą towarzyszy, którzy coś z leśnictwa Majdowa przynieśli wody, sporządziliśmy trochę herbaty i buljonu. Po zaspokojeniu głodu, udałem się do Czachowskiego, również wygłodzonego i znużonego a na szronem okrytym jeszcze smugu odpoczywającego. Ległem poza Grzmotem, pomiędzy otaczającymi starego naszego wodza oficerami.

W tem Grzmot przemówił do dowódcy:

- Ojczy! co zamierzasz uczynić z przyprowadzonymi przezemnie jeńcami?

- Powiesić psie bestye! - wpaść na to jak zwykle szorstko i gburowato, leżący z drugiej strony wodza Dolnicki.

Grzmot oburzony, trącił mnie łokciem nieznacznie, gdy Czachowski i inni oficerowie na to milczeli.

- Przyznam się - wymówiłem - że nie pojmuję jak podobna dzika rada, mogła wyjść z ust olicera Polskiego? Toż Moskale mieliby zupełną słusność, gdybyśmy ją wykonali, powiedzieć, żeśmy ich przeszli w barbarzyństwie. - Na moją obronę obydwu jeńców, Czachowski rzekł:

- A wiesz przecie, że twierdz nie posiadamy, aby ich gdzieś zamykać? Postępowaliśmy z nimi łagodnie z początku, i puszczaaliśmy opatrzywszy jeszcze w pieniądze na drogę, sądząc, że to na tę dzicz wpływ przychylny nam wywrze. Zaledwo jednak puszczeni przez nas na wolność oddalili się o jaką milę, to odpłacali się zaraz: rabowaniem i podpalaniem wiosek. oraz mordowaniem spokojnych ich mieszkańców, broniących swego mienia.

Ale ja stałem mocno przy ocaleniu rannego kozaka, mając jakieś przecucie, że darowane mu życie, przyniosłoby wiele korzyści naszej świętej sprawie

- Więc cóżbyś z nim zrobił? - wymówił zwrócony do mnie opryskliwie Czachowski. - Przecież wiesz, że szpitala nie mamy, więc leczyć go ani też wozić z sobą nie możemy?

Ja odpowiedziałem na to, że posłałbym po podwodę do Majdowa, i odesłałbym rannego kozaka do lazaretu wojskowego w Radomiu.

Zadumał się Czachowski a potem przystał na moją propozycję, i kazał kozaka odesłać do Radomia.

Oddaliłem się, dla wydania odpowiednich rozporządzeń. Przystąpiłem też do wozu z rannym, który zastałem otoczony przez kilkudziesięciu powstańców, odgrażających się jeńcom. Ranny trzął się od zimna i przerażenia. Zestrofowawszy młodzież, za niewłaściwe postępowanie z jeńcami wojennymi, oddaliłem ją od wozu, a przystąpiwszy do rannego, pozdrowiłem go uprzejmie po moskiewsku.

W wybladłego jeńca widocznie nowy duch wstąpił; radość objawiła się w jego twarzy i oczach a sądząc, że byłem oficerem moskiewskim, podniósł palce ręki prawej, salutując. Mówiłem do niego długo uspakajając i zapewniając, że mu włos z głowy nie spadnie, bo go do lazaretu w Radomiu odsyłamy. Następnie zacząłem go nawracać na naszą stronę, co widocznie głęboko trafiło do jego przekonania.

Jednocześnie z kozakiem wprowadziliśmy ze smugu i podwodę włościańską, ze Starachowic, do domu, wskazawszy jej którądy ma jechać, i że musi milczeć, zkąd ją odprawiliśmy. Sami zaś, około godziny 12, ruszyliśmy w dalszy marsz, pożywieni zaledwie po skrawku chleba; okolica bowiem, przez którą przechodziliśmy, jest nadzwyczaj ubogą.

Pomaszerowaliśmy naprzód na południowy zachód drożyną jak po stopniach,

bardzo stromą, w dół z tych wysokich i spadzistych gór, do zakładu żelaznego, Mroczków rządowych. Nie dochodząc do samego zakładu jako na zewnątrz borów już znajdującego się, gdyśmy doszli do drogi, od niego do drugiego zakładu, Aleksandrowa, prowadzącej - skręciła kolumna nasza w prawo, idąc prosto na północ. Nie dochodząc do fabryk znowu, zrobiliśmy obrot w lewo, i poszliśmy na zachód. Gdyśmy w tym kierunku doszli do traktu bitego, z Szydłowca na Chlewiska, Aleksandrów, Nieklań i inni pomniejsze miejscowości, od Radomia do Końskich wiodącego, skręciwszy w lewo, poszliśmy na południowy zachód.

Nie dochodząc zaś do Nieklania, nie daleko tegoż, zrobiliśmy w głuchych borach obrót nowy w lewo, i z traktu wszedłszy w wysokopiennie a dość gęsie lasy, podążyliśmy niemi na wschód z jakie 2000 kroków. Przeszedłszy obok stożkowatego wzgórza, wierzchołek którego płaski, zaledwie dwa do trzech morgów liczący, na około po brzegach jakby omurowany ułożonemi pojedynczerni ogromnych rozmiarów, bo od 5 do 40 metrów głazami, który lud okoliczny Piekłem nazywa - rozłożyliśmy u wschodniego jego podnóżka nasz obóz.

Głód i pragnienie nadzwyczaj nam dokuczały a słońce stojące jeszcze wysoko tego dnia, dosyć przygrzewające w sosnowych borach, zwiększało jeszcze to ostatnie.

Zaczęliśmy szukać wody. Była ona wprawdzie na zewnątrz lasów, pod Nieklaniem, lecz z tych zabroniono nam się wychylać, aby zawczasu nie zdradzić naszego w tych strunach pobytu. Musieliśmy więc pić wodę z dołów, po wykopanej rudzie żelaznej. Woda ta była czerwona, a co gorsza, mnóstwo robactwa białego, pojedyncze sztuki którego do paru cali długości dochodziły, w niej pływało, co straszne obrzydzenie sprawiało, ale ogrom pragnienia, był silniejszy po nad wstręt - i piliśmy ją, wprawdzie zagotowując w garkach poprzednioze szczyptą herbaty. A ci, co jej nie mieli, musieli pić czystą.

Kawalerja nasza dostarczyła nam dnia tego, na sprowadzonych naszych furgonach, zapasy: chleba, krup, jagieł, słoniny, wódki i kartofli, któremi pusiliśmy się zresztą, po tak długim głodzie.

Rano, dnia 19 kwietnia, około godziny 9, oddział Kononowicza przymaszerował także do nas, stosownie do polecenia, przesłanego mu przez Czachowskiego. X. Augustyn Konarski przed wystawionym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w srebrnej sukience z białymi firankami - widocznie z kościoła jakiegoś pochodzącym - bo i aparata, lichtarze cynowe, światło duże woskowe, kropielnica miedziana, krzyż cynowy na ołtarzu, kielich i wszystkie przybory do mszy świętej, dowodnie to wskazywały - odprawił nam mszę, której pod bronią z całym skupieniem wśród borów tych wysłuchaliśmy.

Oddział powyższy maszerował ku nam w nocy, niepostrzeżenie przechodząc przez wieś Grzybową- górę, i mając na czele tylko kapitana Ludwika Michalskiego, od 7 kwietnia dodanego Kononowiczowi na instruktora. Bo tak Kononowicz, jak majorowie Trzciański i Sadowski, zabrawszy z sobą po jednej kurjerce, których trzy w puszczy Kozienieckiej, dla załatwienia interesów tego oddziału, utrzymywali, przebrani w suknie cywilne, odjechali od oddziału, dla łatwiejszego upozorowania i w interesie tegoż wstępując do dworów. Tymczasem w Grzybowej górze, prawie w połowie tejże, wśród ciemności nocnych spotkał się oddział z kolumną moskiewską, dowodzoną przez jakiegoś podpułkownika z Radomia, z przeciwnego końca dopiero co weszłą.

Zawrzała pomiędzy nimi bitwa.

Moskale pierwsi dali ognia ze ściśniętej swej kolumny pomiędzy płotami. Ogień

ten niespodziany oświecił naszym drogę, oraz ukazał, z ilu mają do czynienia.

Strzelcy na sygnał: Michalskiego rzucili się przez płoty w prawo i w lewo, i za chałupami biegnąc, z za budynków zaczęli razić celnymi swymi strzałami ściśniętą kolumnę nieprzyjacielską.

Kapitan Michalski, po ustąpieniu strzelców, mając plac otwarty do ataku, rzucił się z kosynjerami na Moskali, rąbiąc od czoła.

Nieprzyjaciel ujrzawszy, że z atakującego zamienił się na atakowanego, i do tego z trzech stron, zwłaszcza kosami masakrowany, zaczął spieszenie się cofać. Gdy zaś podpułkownik padł, porwali z sobą ciało jego, i w największym popłochu uciekli, nie oparli się aż dopiero w Radomiu.

Michalski, zabrawszy broń po nieprzyjacielu, szczęśliwie oddział doprowadził do nas, a w krótko Kononowicz i Trzeciński się w obozie naszym zjawili. Tak więc 650 powstańców pobiło co najmniej dwa razy tyle regularnego żołnierza, a są u nas tacy, co powątpiewają o waleczności bojowników z r. 1863. - Leży chory lew, ot go i kopnie nogą osieł, choćby pański...

Ku wieczorowi tegoż dnia, zgłosiły się z Radomia trzy młode kobiety niby do objęcia zarządu: kuchni, pralni i posług kurjerskich naszego obozu, i przyjęte do tych obowiązków zostały; co lepsza, jakiś skrzypek w obozie Grelińskiego się znalazł, i już tany rozpoczęto.

Będąc nieprzyjacielem pobytu kobiet w obozach powstańczych, gdym nadto usłyszał obok leżących kosynjerów sarkania, z dwoma towarzyszami z Radomia udałem się do Czachowskiego.

Zbliżywszy się do jego szałas z gałęzi, usłyszeliśmy rzępolącego grajka, i ujrzeliśmy trzech młokosów, prowadzących tany z jakimiś czerwonymi krępami dziewczkami, w stroju przedmieszczanek. Przypatrzawszy się im z bliska, gdy żaden z nas nie mógł sobie przypomnieć, aby te twarze kiedyś widział przedtem; posłałem jednego z towarzyszy po innych z Radomia powstańców, a do klasy rzemieślniczej i przedmieszkańskiej należących.

Gdy i ci, przybywszy, orzekli, że żadnej z nich nigdy nie widzieli, wystąpiłem wtedy śmiało przed dowódcę.

- Ojczy - rzekłem - racz rozważyć, że większość naszego oddziału składają wieśniacy i mieszczenie. Ludzie ci, nie pojmujący dziś jeszcze dokładnie, co to jest ojczyzna, stanęli z nami do szeregu, w przekonaniu, że idą bić się za uciskaną i prześladowaną przez Moskwę świętą naszą wiarę. Jakże się przeto może patrzeć lud, tak jak nasz religijny, na pobyt w obozie naszym kobiet? - i na ten temat rozwiodłem się szeroko, dowodząc, że lud nasz kobietę uczciwą widzi tylko przy ognisku domowym.

Gdym zaczął moją przemowę, Czachowski spochmurniał; ale w miarę słuchania oblicze jego wypogadzało się, a kiedy doszedłem do końca zwykły jego rubaszny uśmiech się pojawił. Wydobył 3 pięciorublowe banknoty, i każdej z trzech kobiet powstańców po jednym doręczając, podziękował grzecznie za ich dobre chęci, i kazał, by wróciły zaraz, z kąd przyszły.

Okolo godziny 6 w[ieczorem] zbliżyła się znowu jakaś muzyka: z dwóch skrzypek. klarnetu, basów i brzękadeł, a za nią wjechał w nasz obóz Stamirowski⁷², b. oficer

⁷² Stamirowski Tomasz w czasie walki 1863 zajmował się raczej grabieżą. Władze powstańcze wydały na niego wyrok śmierci. W literaturze przedmiotu panuje jednak pewne zamieszanie. Wykonanie wyroku

kawalerji moskiewskiej, rozbitek z oddziału Łakińskiego⁷³, dość wysoki i przystojny blondyn, około 40 lat liczący, na dzielnym koniu, po krakowsku przebrany: w karazji białej z amarantową suknią, obficie sieczką i różnemi świecidłami wyszytą, pasem rzemiennym, z kosztownemi świecidłami i takimiz kółkami, z amarantową krakuską z białym barankiem i pękiem czaplich piór, drogocenną spinką do niej przypiętych; karabela, ostrogi, czaprak na koniu amarantowy z białemi po rogach srebrnemi polskimi orłami- wszystko to bardzo ozdobnie, i niby to patryjotycznie wyglądało, choć nieco teatralnie.

- Szarfę miał przez ramię szeroką, trójkolorową, pułkownikowską. Za nim postępowało 45 kawalerzystów, trochę z kozacka ubranych, na dzielnych koniach. Z miny ich wyglądało zawadjadwo, męstwa jednak i karności widać wcale nie było. Za nimi jechała kawaleria nasza, z por. Wielobyckim wysłana z rozkazem Czachowskiego do Stamirowskiego, by stawił się natychmiast z oddziałem swym w obozie jego jako naczelnika sił zbrojnych województwa.

Stamirowski i jego towarzyszy spodziewali się, swym hucznym a fantazyjnym wjazdem wyrzucić wielkie na nas wrażenie. Tymczasem wiara nasza leżała sobie i wypoczywała przy ogniskach a na sprawiony rzępoleniem ich muzyki i cymbałków hałas, zaledwie raczyła podnieść gdzie niegdzie głowę.

Powstanie 1863 r. było zanadto moralne, by znosić jakiebądź u siebie komedje. Ja zaś, ponieważ wiedziałem, co się właściwie święci, poszedłem natychmiast wraz z Grzmotem do Eminowicza, i byliśmy świadkami, jak Stamirowski nadjechał i - z tęgą fantazją broń swą przed Czachowskim sprezentował a następnie złożył mu raport. Wojewoda nasz, powstawszy z burki, na której w szałasie odpoczywał, wyszedł do niego, przyjął raport, ale bardzo obojętnie; następnie pochmurnie wyrzekł doń, wskazując miejsce we wnętrzu obozu:

- Tam stań z twą kawalerią! - a obróciwszy się doń tyłem, wszedł z powrotem do szałasu i położył się znów na burce. Stamirowskiemu bardzo zrzędła fantazja, po powyższem przyjęciu go przez naczelnika, a być może i przecucie coś mu niedobrego szepnęło. - Przed jakimś bowiem czasem, dowódzca nasz, otrzymał od Rządu Narodowego lakoniczny bardzo rozkaz: «Stamirowskiego, mianującego się niewłaściwie pułkownikiem, zawezwać i rozstrzelać, a oddział jego kawaleryjski wcielić do swego». Stamirowski widocznie domyślał się, że jego rabunki i gwałty na sucho nie ujdą. Zaledwo się dowiedział o zbliżaniu naszego oddziału, natychmiast z sąsiedztwa uchodził, tym też sposobem i o wyroku na siebie Rządu Narodowego nie wiedział dokładnie.

Gdy wówczas nie znaliśmy powodów powyższego, doraźnego wyroku, przeto postanowiliśmy z Grzmotem, przez Eminowicza i innych oficerów, wpłynąć na Czachowskiego, aby pod pozorem, że już wieczór właśnie zapadał, a w nocy wyroki sądów wojennych się nie wykonują, - wyjednać odłożenie, spełnienia takowego przynajmniej do jutra.

Wiedzieliśmy bowiem, iż Moskwa gromadzi siły i otacza nas wokoło, a zatem że i

przypisuje się płk. Zygmuntowi Chmieleńskiemu. Ten ostatni wydał wykonał karę śmierci, ale na Władysławie Sokołowski, pseudonim Iskra.

⁷³ Łakiński Józef (1832 – 1863). Na czele sformowanego oddziału wszedł do Opoczna (4 luty 1863). Po odbiciu miasta przez Rosjan Łakiński opuścił oddział. Część jego żołnierzy przeszła do Antoniego Jeziorańskiego, a on sam utworzył niewielki oddział w powiecie gostyńskim. Zginął w bitwie pod Kunkami 15 maja 1863 roku.

do bitwy lada chwila przyjść musi. Postanowiliśmy przeto z tego skorzystać, aby Stamirowskiego wziąć do niej, i wystawić na pierwszy ogień.

Liczyliśmy na to, że kula moskiewska wyręczy nas, od spełnienia powyższego, bolesnego, wyroku na rodaka powstańca. Eminowicz i inni oficerowie, przed którymi zwierzyliśmy się z naszego planu, zgodzili się na takowy.

To też gdy nas wkrótce potem przywołać kazał Czachowski, i dał rozkaz złożenia sądu wojennego na Stamirowskiego, prawie jednogłośnie oświadczyliśmy: że tu wyrokować nie ma już co, tem więcej, że oskarżenia motywów nie zna z nas nikt, a wyrok jest już gotowy, skoro go Rząd Narodowy wydał; więc dla nas jest już prawem najwyższem, którego nikt tu kwestjonować nie może. Ponieważ zaś wyroki sądu wojennego nie wykonywują się po nocy, przeto upraszamy Naczelnika o odłożenie spełnienia jego do jutra, do światła dziennego. Czachowski przyznał nam słusność, i wykonanie do dnia następnego odłożył. O godzinie 9 wieczór przywołał do siebie Czachowski Grzmota i polecił mu, aby z wyborowym oddziałem uderzył na Przysuchę, o przeszło mil 4 od nas, a dokąd na stałe przyszła kompanja Moskali.

Grzmot jak zwykle, delikatnie starał się przedstawić niewykonalność tego rozkazu, i Czachowski przystał na to, by zaczekać do jutra na dokładniejsze informacje.

Okolo północy odebrał też rzeczywiście Czachowski wiadomość, że nie rota, ale jest dwie, nie w Przysusze, lecz we dworze Rzeczniewskim, własności nędzników, Krtigura⁷⁴ i Przybylskiego. Spojone niby to przez nich, nocować mają w dworskich stodołach. I że ciż oczekują naszego przybycia, a z łatwością je pobijemy, i zabierzemy do niewoli. Cała ta wiadomość wydała się wielce podejrzaną, jedno tylko było pewnem, że ci nikczemnicy postarali się postawić pomiędzy sobą a nami siły nieprzyjacielskie, w obawie, abyśmy ich czasem w ich majątku, nawidzieć nie zechcieli, i jako notorycznych zdrajców do odpowiedzialności nie pociągnęli.

⁷⁴ Chodzi o Andrzeja Krügera.